

WALDEMAR BONSELS

Pszczołka Maja i jej przygody



(1912)

WALDEMAR BONSELS

PRZYGODY PSZCZÓŁKI MAI

WRAZ Z ILUSTRACJAMI

Homera Bossa

Wydawnictwo Horyzont Idei

Damian „Zeta” Tarkowski

Polskie Wydawnictwa Niezależne

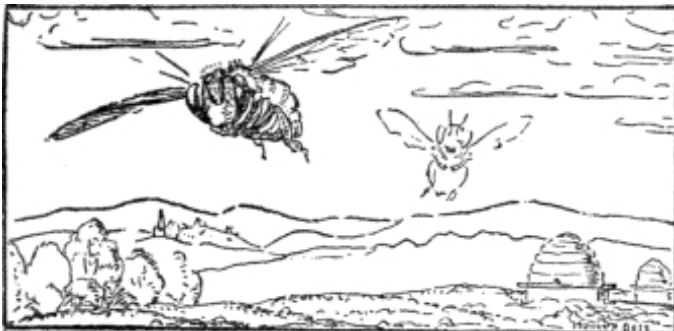
– HOID.PL 2023

ISBN: 978-83-65185-93-8



Dlaczego nie wejdiesz?

ROZDZIAŁ I. PIERWSZY LOT



STARSZA PANI PSZCZOŁA, która pomogła małej pszczółce Mai, gdy ta obudziła się do życia i wyslizgnęła ze swojej komórki, nazywana była Kasandrą i cieszyła się wielkim szacun-

kiem w ulu. To były ekscytujące i pełne napięcia dni. W narodzie pszczoł wybuchł bunt, którego królowa nie była w stanie stłumić.

Podczas gdy doświadczona życiem pszczoła Kasandra wycierała duże, jasne oczy Mai i starała się jak najlepiej ułożyć jej delikatne skrzydła, w wielkim ulu zapanował szum i zgiełk jak w czasie groźnej burzy, a mała pszczółka poczuła, że jest jej bardzo ciepło i powiedziała o tym swojej piastunce.

Kasandra była zakłopotana i nie odpowiedziała na tę uwagę. Zdziwiło ją, że pszczele dziecko tak szybko znalazło coś do skrytykowania, ale tak naprawdę maleństwo miało rację: upał, przepychanki i tłok były prawie nie do zniesienia. Maja widziała niekończącą się serię pszczoł mijających się w takim rojnym pośpiechu, że czasami jedna wspinała się na drugą, albo kilka zbitych w kłębek przetaczało się obok siebie.

Gdy zbliżyła się królowa pszczoł, Kasandra i Maja zostały odepchnięte na bok. Z pomocą w tym zgiełku przyszedł przyjazny młody osobnik o nieskazitelnym wyglądzie. Skinął głową do Mai i dość nerwowo pogłaskał swą przednią nogą lśniące

włosy na piersi (pszczoły używają przednich nóg jako ramion i dłoni).

— Nadchodzi katastrofa — powiedział do Kasandry. — Rewolucjoniści opuszczą nasze miasto. Ogłosili już nową królową.

Kasandra ledwo go zauważyła. Nawet nie podziękowała mu za pomoc, a Maja czuła, że starsza pani nie była ani trochę miła dla młodego dżentelmena. Dziecko trochę bało się zadawać pytania, wrażenia napływały tak szybko i gęsto, że pszczołka bała się, że wszystko to ją przytłoczy. Powszechne poruszenie udzieliło się i jej, i sama zaczęła głośno bzyczeć.

— Czemu to robisz? — spytała Kasandra. — Czy i bez tego ten hałas nie jest już nie do wytrzymania? — Maja natychmiast zamilkła i spojrzała pytająco na Kasandrę.

— Chodź tu, dziecko, zobaczymy, czy nie uda nam się znaleźć nieco ciszy. — Kasandra chwyciła Maję za lśniące skrzydła, które wciąż były miękkie, nowe i cudownie przezroczyste, i popchnęła ją w prawie opuszczony kąt obok kilku plastrów wypełnionych miodem.

Maja stała nieruchomo i trzymała się jednego z plastrów.

— Pachnie tu przepysznie — zauważyła.

Jej uwaga zdawała się ponownie zdenerwować starszą piastunkę.

— Musisz nauczyć się cierpliwości, dziecko — odpowiedziała.

— Tej wiosny wychowałam kilkaset młodych pszczoł i dałam im lekcje pierwszego lotu, ale nie spotkałam jeszcze żadnej, która byłaby tak śmiała i nietaktowna jak ty. Posiadasz wyjątkowy temperament.

Maja zarumieniła się i wsunęła dwa delikatne palce dłoni do ust.

— Wyjątkowy temperament — co to jest wyjątkowy temperament? — zapytała nieśmiało.

— Och, to nieładnie tak — zawołała Kasandra, odnosząc się nie do pytania Mai, na które ledwo zwróciła uwagę, ale do włożenia przez dziecko palców do ust. — A teraz słuchaj. Posłuchaj bardzo uważnie tego, co ci powiem. Mogę poświęcić ci tylko chwilę. Inne pszczołki już się wykluły, a jedyną pomocnicą, jaką mam na tym piętrze, jest Turka, a Turka jest strasznie przepracowana i od kilku dni skarży się na brzęczenie w uszach. Usiądź tutaj.

Maja usiadła posłusznie, ze swoimi wielkimi brązowymi oczami wpatrzonymi w nauczycielkę.

— Pierwszą zasadą, której młoda pszczoła musi się nauczyć — powiedziała Kasandra i westchnęła — jest to, że każda pszczoła, cokolwiek myśli i robi, musi być taka jak inne pszczoły i zawsze musi mieć na uwadze dobro wszystkich. W naszym porządku społecznym, który od niepamiętnych czasów uważamy za właściwy i który nie mógłby być już lepszy, ta zasada jest jedyną fundamentalną podstawą dobrobytu państwa. Jutro wylecisz z ula, a towarzyszyć będzie ci starsza pszczoła. Na początku będziesz mogła latać tylko na krótkich odcinkach i będziesz musiał obserwować wszystko bardzo uważnie, abyś mogła znaleźć drogę powrotną do domu. Twoja towarzyszka pokaże ci sto kwiatów, które dają najlepszy nektar. Będziesz musiała nauczyć się ich na pamięć. Tego obowiązku żadna pszczoła nie może uniknąć. Pierwszej linii możesz się nauczyć od razu tu i teraz. To koniczyny i wiciokrzew. Powtórz. Powiedz „koniczyna i wiciokrzew”.

— Nie mogę — powiedziała mała Maja. — To strasznie trudne. I tak zobaczę te kwiaty później.

Kasandra otworzyła szeroko swoje stare oczy i potrząsnęła głową.

— Źle skończysz — westchnęła. — Już to widzę.

— Czy później przez cały dzień mam zbierać nektar? — zapytała Maja.

Kasandra westchnęła głęboko i spojrzała na pszczołkę poważnie i smutno. Zdawała się myśleć o swoim ciężkim życiu — o trudzie od początku do końca, o niczym innym jak o trudzie. Potem przemówiła zmienionym głosem, z pełnym miłości spojrzeniem w oczach.

— Moja droga mała Maju, w twoim życiu będą inne rzeczy — słońce, wysokie zielone drzewa, kwieciste wrzosowiska, srebrne jeziora, rwące, lśniące ścieżki wodne, błękitne i promienne niebo, a może nawet ludzie, najwyższe i najdoskonalsze ze stworzeń Natury. Z powodu tych wszystkich wspaniałości twoja praca stanie się radością. Pomyśl tylko — wszystko to przed tobą, drogie serce. Masz dobry powód, by być szczęśliwą.

— Bardzo się cieszę — powiedziała Maja — właśnie taka chcę być.

Kasandra uśmiechnęła się życzliwie. W tym momencie — choć sama nie wiedziała dlaczego — poczuła szczególną sympatię do małej pszczołki, jakiej nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek wcześniej czuła do jakiegokolwiek pszczelego dziecka. Prawdopodobnie to dzięki temu Maja dowiedziała się więcej, niż zwykle pszczoła słyszy pierwszego dnia swojego życia. Tutorka dawała jej różne rady, ostrzegała przed niebezpieczeństwami niegodziwego świata i wymieniała najgroźniejszych wrogów pszczół. Na koniec długo mówiła o ludziach i zaszczepiła w sercu dziecka pierwszą miłość do nich oraz załazek wielkiej tęsknoty za ich poznaniem.

— Bądź uprzejma i miła dla każdego owada, którego spotkasz — powiedziała na zakończenie — wtedy nauczysz się od nich więcej, niż ci dzisiaj powiedziałam. Uważaj jednak na osy i szerszenie. Szerszenie są naszym najpotężniejszym wrogiem i najbardziej niegodziwym, a osy to bezużyteczne plemię złodziei, bez domu i religii. Jesteśmy silniejszą i potężniejszą społecznością, podczas gdy one kradną i mordują, gdzie tylko mogą. Możesz użyć swojego żądła na owadach, aby się bronić i wzbudzać

szacunek, ale jeśli wbijesz je w ciepłokrwiste zwierzę, zwłaszcza w człowieka, zginiesz, ponieważ pozostanie ono wbite w skórę i się odłamie. Nie żądl więc ciepłokrwistych stworzeń, chyba że jest to konieczne, a wtedy rób to bez wzdrygania się i strachu przed śmiercią. To właśnie naszej odwadze i mądrości pszczoły zawdzięczają powszechny szacunek i poważanie, jakim są darzone. A teraz czas się pożegnać droga Maju. Powodzenia. Bądź wierna swojemu ludowi i swojej królowej.

Mała pszczołka przytaknęła i odwzajemniła pocałunek i uścisk swojej starej opiekunki. Położyła się do łóżka w ferworze radości i ekscytacji, nie mogąc zasnąć z ciekawości wobec tego, co ją czeka. Następnego dnia miała poznać wielki, szeroki świat, słońce, niebo i kwiaty.

W międzyczasie pszczele miasto ucichło. Duża część młodszych pszczoł opuściła teraz królestwo, aby założyć nowe miasto, ale przez długi czas brzmienie wielkiego roju można było usłyszeć na zewnątrz w świetle słonecznym. Pszczoły opuściły królestwo nie z powodu arogancji czy złych zamiarów wobec królowej, ale dlatego, że populacja rozrosła się do takich rozmiarów, że nie było już miejsca dla wszystkich mieszkańców i niemożliwe było zgromadzenie wystarczających zapasów miodu, aby wyżywić ich wszystkich przez zimę. Zgodnie ze starym prawem, duża część miodu zebranego latem musiała być dostarczana ludziom, którzy w zamian zapewniali dobrobyt pszczelego państwa, spokój i bezpieczeństwo pszczoł oraz schronienie przed chłodem w zimie.

— Słońce wzeszło!

Radosne wołanie rozbrzmiewające w uszach Mai obudziło ją ze snu następnego ranka. Podskoczyła i dołączyła do pszczoły robotnicy.

Cudownie – powiedziała serdecznie pszczoła – możesz lecieć ze mną.

Przy bramie, gdzie panowała wielka przepychanka i tłok, zostali zatrzymani przez wartowników, z których jeden podał Mai hasło, bez którego żadna pszczoła nie zostałaby wpuszczona do pszczelego miasta.

— Zapamiętaj je — powiedział — i powodzenia.

Za bramami miasta małą pszczółkę wprost uderzył nawał słonecznego światła, blasku zieleni i złota, tak bogatego, ciepłego i olśniewającego, że musiała zamknąć oczy, nie wiedząc, co powiedzieć lub zrobić z czystego zachwytu.

— Wspaniałe! Naprawdę — powiedziała do swojej towarzyszki.
— Wlecimy tam?

— Proszę bardzo! — odpowiedziała robotnica.

Maja uniosła swoją małą główkę i poruszyła młodymi, ślicznymi skrzydełkami. Nagle poczuła, że półka, na której stała, opada, ziemia zdaje się oddalać, a wielkie zielone korony drzew zdają się zbliżać do niej.

Jej oczy błyszczały, a serce się radowało.

— Lecę, zawołała. — To nie może być nic innego. To, co robię, musi być lataniem. Jakie to wspaniałe, cudownie wspaniałe!

— Tak, latasz — powiedziała pani pszczoła, która z trudem nadążała za dzieckiem. — Drzewa, w których kierunku lecimy to lipy rosnące w naszym parku zamkowym. Po tych lipach zawsze można rozpoznać, gdzie jest nasze miasto. Jak ty szybko latasz Maju!

— Szybko? — powiedziała Maja. — Czy można latać zbyt szybko? Och, jak słodko pachnie słońce!

— Nie — odrzekła jej towarzyszka, która była już raczej zdyszana — to nie słońce, ale kwiaty pachną, ale proszę, nie leć tak szybko, bo zostanę w tyle. Poza tym w tym tempie nie będziesz w stanie obserwować szczegółów swojej drogi i znaleźć drogi powrotnej.

Mała Maja, uniesiona słońcem i radością życia, nie słyszała jej słów. Czuła się tak, jakby mknęła niczym strzała przez mieniające się zielenią morze światła, ku coraz większemu blaskowi. Jasne kwiaty zdawały się ją wzywać, spokojne, oświetlone słońcem odległości wabiły ją, a błękitne niebo błogosławiło jej radosny, młodzińczy lot.

— Już nigdy nie będzie tak pięknie, jak dziś — pomyślała. — Nie mogę teraz zawrócić. Nie mogę myśleć o niczym innym jak tylko o słońcu.

Pod nią zmieniały się radosne obrazy, spokojny krajobraz przesuwiał się powoli, szerokimi pasmami.

— Słońce musi być całe ze złota — pomyślała mała pszczołka.

Dochodząc do dużego ogrodu, który zdawał się spoczywać w kwitnących chmurach wiśni, głogu i bzu, zmęczona pszczołka opadła na ziemię, na grządkę czerwonych tulipanów, gdzie chwyciła się jednego z dużych kwiatów. Z wielkim westchnieniem błogości przycisnęła się do kwitnącej ściany i spojrzała w górę na głęboki błękit nieba przez błyszczące krawędzie kwiatów.



— Och, jak pięknie jest tutaj, w wielkim świecie, tysiąc razy piękniej niż w ciemnym ulu. Nigdy już tam nie wrócę, by nosić miód czy wyrabiać воск. Nie, naprawdę, nigdy tego nie zrobię. Chcę zobaczyć i poznać kwitnący świat. Nie jestem jak inne pszczoły, moje serce jest przeznaczone dla przyjemności i nie-

spodzianek, doświadczeń i przygód. Nie będę się bała żadnych niebezpieczeństw. Czyż nie mam siły, odwagi i żądła?

Roześmiała się, kipiąc z zachwyty, i wzięła głęboki haust nektaru z kwiatu tulipana.

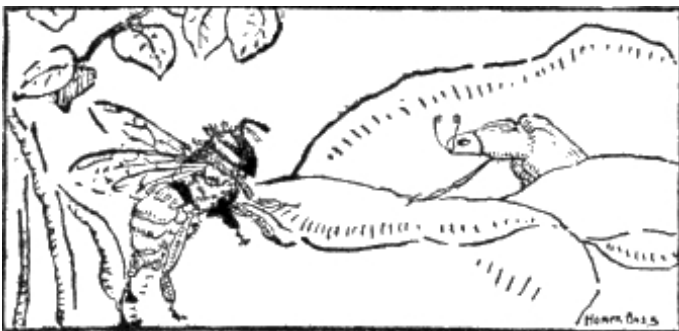
— Wspaniale — pomyślała. — Wspaniale jest żyć.

Ach, gdyby mała Maja miała tylko pojęcie o tak wielu niebezpieczeństwach i trudach, które na nią czyhały, z pewnością zastanowiłaby się dwa razy, ale nigdy nie myślała o takich rzeczach i trzymała się swojego postanowienia.

Wkrótce ogarnęło ją zmęczenie i zasnęła. Kiedy się obudziła, słońca już nie było, a na ziemi panował półmrok. Mimo wszystko uczuła trochę niepokoju. Serce Mai nieco przyspieszyło. Niepewnie wysliznęła się z kwiatu, który właśnie zamykał się na noc, i ukryła się wysoko pod jednym z liści.

— Nie boję się. Nie będę się bała już na samym początku. Słońce znów zachodzi, to pewne, Kasandra tak powiedziała. Trzeba spokojnie pójść spać i dobrze się wyspać.

ROZDZIAŁ II. DOM RÓŻY



KIEDY MAJA się obudziła, był już dzień. Pod wielkim zielonym liściem było jej trochę chłodno, a kończyny miała sztywne, więc jej pierwsze ruchy były powolne i niezdarne. Przy-

czepiając się do żyłki liścia, pozwoliła swoim skrzydłom zadrzeć i wibrować, aby je uelastyczyć i otrząsnąć się z kurzu; następnie wygładziła swoje jasne włosy, przetarła swoje wielkie oczy i ostrożnie podpełzła do krawędzi liścia, gdzie zatrzymała się i rozejrzała.

Chwała i blask porannego słońca były oślepiające. Chociaż miejsce spoczynku Mai wciąż pozostawało w chłodnym cieniu, liście nad głową lśniły jak zielone złoto.

— Och, wspaniały świecie — pomyślała mała pszczołka.

Powoli, jeden po drugim, wracały do niej doświadczenia z poprzedniego dnia — wszystkie te piękne rzeczy, które widziała i wszystkie zagrożenia, na które się naraziła. Pozostała niezłomna w swoim postanowieniu, by nie wracać do ula. Gdy tylko pomyślała o Kasandrze, jej serce na chwilę zabiło szybciej, choć nie było zbyt prawdopodobne, by Kasandra kiedykolwiek ją odnalazła — nie, nie, z całą pewnością dla Mai nie było radości w wiecznym lataniu do i z ula, noszeniu miodu i robieniu wosku. To było już jasne, raz na zawsze. Chciała być szczęśliwa, wolna i cieszyć się życiem po swojemu. Choćby nie wiem co, poniesie tego konsekwencje.

Maja myślała o tym ze spokojem, choć tak naprawdę nie miała pojęcia, co ją czeka.

Daleko w świetle słońca coś zabłysło na czerwono. Mała pszczołka poczuła niecierpliwość. Co więcej, poczuła głód. Więc odważnie, z głośnym radosnym brzęczeniem, wyszła ze swojej kryjówki na czyste, lśniące powietrze i ciepłe światło słoneczne, i ruszyła prosto do czerwonej plamy, która zdawała się kiwać głową i wołać. Kiedy się zbliżyła, poczuła zapach tak słodki, że niemal odebrał jej zmysły i z trudem dosięgła dużego czerwonego kwiatu. Opuściła się na najbardziej zewnętrzny z jego zakrzywionych płatków i przylgnęła do niego mocno. Przy delikatnym przechyleniu płatka, lśniąca srebrna kula, prawie tak duża, jak ona sama, potoczyła się w jej kierunku, przezroczysta i lśniąca wszystkimi kolorami tęczy. Maja była przerażona, a jednocześnie zafascynowana blaskiem urzekającej srebrnej kuli, która przetoczyła się obok niej i balansując na krawędzi płatka, pszczołka skoczyła w promienie słońca i upadła na trawę. Piękna kula rozsypała się na drobne perełki. Maja wydała z siebie okrzyk przerażenia, ale maleńkie, okrągłe fragmenty tak jasno, żywo błyszczały w trawie i spływały po źdźbłach w migoczących, iskrzących się kropelkach, jak diamenty w świetle lampy, że się uspokoiła.

Odwróciła się w stronę wnętrza kielicha. Żuk, nieco mniejszy od niej, z brązowymi osłonami skrzydeł i czarnym napierśnikiem, siedział przy wejściu. Nie ruszał się z miejsca i patrzył na nią z powagą, choć bynajmniej nie z niechęcią. Maja ukloniła się grzecznie.

— Czy ta piłka należała do ciebie? — zapytała, a nie otrzymawszy odpowiedzi, dodała: — Bardzo przepraszam, że ją zrzuciłam.

— Masz na myśli kroplę rosy? — uśmiechnął się żuk, raczej z wyższością. — Nie musisz się o to martwić. Już się napiłem, a moja żona nigdy nie pije wody, ma problemy z nerkami. Co ty tu robisz?”

— Co to za wspaniały kwiat? — zapytała Maja, nie odpowiadając na pytanie żuka. — Czy byłbyś na tyle dobry i powiedział mi, jak się nazywa?

Pamiętając radę Kasandry, była tak uprzejma, jak to tylko możliwe.

Chrzaszcz przesunął swoją błyszczącą głowę w płytce grzbietowej, co mógł zrobić bez najmniejszego dyskomfortu, ponieważ jego głowa idealnie pasowała i przesuwiała się w przód i w tył, nie napotykając oporu.

— Zachowujesz się jakbyś ledwo co przysła na ten świat — powiedział i zaśmiał się niezbyt grzecznie. Ogólnie rzecz biorąc, było w nim coś, co uderzyło Maję jako nieokrzesanie. Pszczoły miały więcej kultury i lepsze maniery. Wyglądał jednak na dobrodusznego stworzenie, ponieważ widząc rumieniec zakłopotania u Mai, zaspokoił nieco jej dziecięcy brak wiedzy.

— To róża — wyjaśnił pobłażliwie.

— Wprowadziliśmy się cztery dni temu i odkąd się tutaj pojawiliśmy, cudownie rozkwitła pod naszą opieką — wejdiesz?

Maja zawahała się, po czym przezwyciężyła obawy i zrobiła kilka kroków do przodu. Odsunął na bok jasny płatek, a Maja weszła do środka. Wraz z żukiem szli obok siebie przez wąskie pokoje o stłumionym świetle i pachnących ścianach.

— Cóż za uroczy dom — wykrzyknęła Maja, szczerze zachwycona tym miejscem. — Zapachy są wprost odurzające.

Podziw Mai ucieszył żuka.

— Trzeba być mądrym, by wiedzieć, gdzie zamieszkać — powiedział i uśmiechnął się dobrodusznie. — Powiedz mi, gdzie mieszkasz, a powiem ci, ile jesteś wart — mówi stare porzekadło — Masz ochotę na nektar?

— Och — spontanicznie wykrzyknęła Maja — bardzo chętnie.

Żuk skinął głową i zniknął za jedną ze ścian. Maja rozejrzała się. Była szczęśliwa. Przyciskała policzki i małe rączki do delikatnych czerwonych zasłon i brała głębokie wdechy pysznych perfum, w ekstazie z zachwyty, że pozwolono jej zatrzymać się w tak pięknym mieszkaniu.

— Życie z całą pewnością jest wielką radością — pomyślała. — Nie ma porównania między obskurnymi, zatłoczonymi ulami, w których żyją i pracują pszczoły, a tym domem. Panująca tu cisza jest wspaniała.

Nagle za ścianami rozległ się głośny dźwięk sporu. To żuk warczał podekscytowany w wielkim gniewie. Wydawało się, że kogoś popycha, a Maja wyłapała, co mówi czystym, tubalnym głosem pełnym przerażenia i upokorzenia.

— Oczywiście, ponieważ jestem sam, śmiesz podnosić na mnie rękę, ale poczekaj i zobacz, co się stanie, gdy przyprowadzę moich współpracowników. Jesteś łotrem. Dobrze, idę, ale pamiętaj, nazwałem cię łotrem. Popamiętasz mnie.

Stanowczy ton nieznajomego, tak ostry i zezłoszczony, przeraził Maję. Po kilku chwilach usłyszała odgłos kogoś wybiegającego.

Żuk wrócił i ponuro rozlał trochę nektaru.

— To skandal — powiedział. — Nigdzie nie można uciec przed tymi szkodnikami. Nie dają ci chwili spokoju.

Maja była tak głodna, że zapomniała mu podziękować, wzięła do ust nektar i przeżuła, podczas gdy żuk otarł pot z czoła i lekko rozluźnił górną część pancerza, by złapać oddech.

— Kto to był? — wymamrotała Maja ze wciąż pełnymi ustami.

— Proszę, najpierw przełknij — skończ żuć i połknij swój nektar. Nie można zrozumieć ani słowa.

Maja była posłuszna, ale rozemocjonowany właściciel domu nie dał jej czasu na powtórzenie pytania.

— To była ta parszywa mrówka — wybuchnął gniewnie. — One naprawdę myślą, że całe dnie, godzina po godzinie, wszystkie nasze zapasy przechowujemy tylko dla nich! Cóż za pomysł, by iść prosto do naszej spiżarni, nawet nie zapytać, co u nas słychać, zabrać to i owo i sobie pójść! Takie maniery doprowadzają mnie do furii. Gdybym nie zdawał sobie sprawy, że te źle wychowane stworzenia tak naprawdę nie potrafią się inaczej zachować, nie zawahałbym się ani sekundy, by nazwać je złodziejkami!



Nagle przypomniał sobie o swoich manierach.

— Przepraszam — powiedział, zwracając się do Mai — zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Piotrek, z rodziny żuków różanych.

— Nazywam się Maja — powiedziała nieśmiało mała pszczoła.
— Cieszę się, że mogę cię poznać.

Przyjrzała się Piotrkowi uważnie; kłaniał się wielokrotnie i rozkładał czułki jak dwa małe brązowe wachlarze. To bardzo ucieszyło Maję.

— Masz absolutnie fascynujące czułki — powiedziała — są po prostu słodkie...

— Cóż, tak, w rzeczy samej — zauważył Piotrek, schlebiając jej — ludzie dużo o nich myślą. Chciałabyś zobaczyć ich drugą stronę?

— Jeśli mogę.

Różany żuk obrócił swoje czułki w kształcie wachlarza na bok i pozwolił, by prześlizgnął się po nich promień słońca.

— Wspaniałe, nie sądzisz? — zapytał.

— Nie sądziłam, że coś takiego jest możliwe — odparła Maja.

— Moje własne czułki są bardzo proste.

— Cóż, tak — zauważył Piotruś — każdy coś ma. W ramach wzajemności z pewnością można stwierdzić, że masz piękne oczy, a kolor twojego ciała, jego złocista barwa, jest niczego sobie.

Maja rozpromieniła się. Piotrek był pierwszą osobą, która powiedziała jej, że wygląda ładnie. Życie było wspaniałe. Była szczęśliwa jak skowronek i poczęstowała się nektarem.

— Doskonała jakość miodu — zauważyła.

— Weź jeszcze trochę” — powiedział Piotruś, raczej zdumiony apetytem swojego małego gościa. — Sok różany z pierwszego rocznika. Trzeba uważać, żeby nie zepsuć sobie żołądka. Zostało też trochę rosy, jeśli jesteś spragniona.

— Dziękuję bardzo — powiedziała Maja. — Chciałabym już teraz polecieć, jeśli pozwolisz.

Różany żuk się roześmiał.

— Latanie, zawsze latanie — powiedział. — Wy pszczoły macie to we krwi. Nie rozumiem takiego niespokojnego trybu życia. Pozostanie w jednym miejscu, też ma swoje plusy, nie sądzisz?

Piotrek uprzejmie odsunął na bok czerwoną zasłonę.

— Odprowadzę cię aż do naszego płotka obserwacyjnego — powiedział. To doskonałe miejsce wzbicia się do lotu.

— Dziękuję — powiedziała Maja — mogę latać z dowolnego miejsca.

— I właśnie w tym masz nade mną przewagę — odparł Piotrek. — Mam pewne trudności z rozłożeniem dolnych skrzydeł.

Uścisnął jej dłoń i odsunął dla niej ostatnią zasłonę.

— Och, jakie błękitne niebo! — ucieszyła się Maja. — Do widzenia.

— Na razie — zawołał Piotrek, pozostając na górnym płatku, by zobaczyć, jak Maja szybko wznosi się ku niebu w złocistym słońcu i przejrzystym, czystym powietrzu poranka. Z westchnieniem wrócił do swojego chłodnego różanego mieszkania, bo choć było jeszcze wcześniej, było mu bardzo ciepło. Zaśpiewał sobie swoją poranną pieśń, nucąc w czerwonym połysku płatków i blasku wiosennego dnia, który powoli dojrzewał, a jej melodia rozchodziła się po kwitnącej ziemi.

*Pola i drzewa są złotem, zielenią
Rozgrzane w blasku lata;
Jasne i piękne są barwy świata
Gdy róże kwitnieniem się mienią.*

*Czemu i jaki może być świat
Któż raczy zgadnąć lub wiedzieć?
Cały mój świat jest radością, wolnością
Gdy kwitną – to mogę powiedzieć.*

*Krótki, mówią, mój czas radości;
Odchodzę stąd wraz z różami
Tak, ale życie jest dla mnie dobre
Dopóki kwitną, są z nami.*

ROZDZIAŁ III. JEZIORO



— MOJA DROGA — pomyślała Maja do siebie samej, gdy już odleciała. — Och, droga moja, zapomniałam zapytać pana Piotrka o istoty ludzkie. Taki dżentelmen z jego boga-

tym doświadczeniem z pewnością mógłby mi o nich opowiedzieć, ale może dziś sama jakiegoś spotkam.

Pełna entuzjazmu i w radosnym nastroju przygody, pozwoliła swoim jasnym oczom wędrować po rozległym krajobrazie, który rozciągał się poniżej w całej swojej letniej okazałości.

Dotarła do dużego ogrodu mieniącego się tysiącem kolorów. Po drodze spotkała wiele owadów, które śpiewały jej pozdrowienia, życząc przyjemnej podróży i dobrych zbiorów. Jednak za każdym razem, gdy spotykała którąś z pszczoł, serce skakało jej do czółek. W końcu czuła się trochę winna, że jest beczynna i bała się spotkać znajome pszczoły. Wkrótce jednak zauważyła, że pszczoły nie zwracają na nią najmniejszej uwagi.

Wtem oto naraz świat zdawał się wywrócić do góry nogami. Niebo świeciło pod nią, w swej nieskończonej głębi. Na początku była strasznie przestraszona; myślała, że poleciała za wysoko i zgubiła drogę na niebie. Wkrótce zauważyła, że drzewa odbijają się na krawędzi ziemskiego nieba i ku swemu zdumieniu zdała sobie sprawę, że patrzy na wielki, spokojny zbiornik wodny, błękitny i czysty tego spokojnego poranka. Opuściła się blisko tafli jeziora. Jej obraz unosił się w odbiciu, piękne złoto jej ciała lśniło z powierzchni wody, a jej jasne skrzydła błyszczały

jak przezroczyste szkło. Zauważyła, że trzyma swoje małe nóżki prawidłowo przy ciele, tak jak nauczyła ją Kasandra.

— To błogo tak latać nad powierzchnią wody. Naprawdę — pomyślała.

Duże i małe ryby pływały w przejrzystej wodzie lub zdawały się unosić beczynn timer. Maja uważała, by nie podpłynąć zbyt blisko; wiedziała, że ze strony ryb pszczołom grozi niebezpieczeństwo.

Na przeciwległym brzegu zainteresowała ją lilie wodne i szuwary. Lilie wodne wraz ze swoimi dużymi okrągłymi liśćmi leżącymi na wodzie były jak zielone talerze pośród szuwarów z ich rozgrzany mi słońcem, trzcinowymi łodygami.

Wybrała liść dobrze ukryty pod wysokimi źdźbłami tych traw. Leżał prawie całkowicie w cieniu, z wyjątkiem dwóch okrągłych plamek, mieniających się jak złote monety; szuwary powyżej kołysały się w pełnym słońcu.

— Wspaniale — powiedziała mała pszczołka — doskonale i wspaniale.

Zabrała się za poranną toaletę. Podnosząc obie ręce za głowę, wyciągnęła ją do przodu, jakby chciała ją oderwać, ale uważała, by nie ciągnąć zbyt mocno, tylko na tyle, by zeszkrobać kurz; następnie swoimi małymi tylnymi nogami głaskała i ciągnęła w dół koniuszki skrzydeł, które odskoczyły na swoje miejsce, wyglądając pięknie jasno i błyszcząco.

W chwili, gdy zakończyła swoją toaletę, na liściu obok niej wyładowała nieduża niebieska muszka. Spojrzała na pszczołkę ze zdziwieniem.

— Co ty robisz na moim liściu? — zapytała stanowczym tonem. Maja była zaskoczona.

— Czy ktoś ma coś przeciwko temu, by móc tu odpocząć przez chwilę lub dwie?

Maja pamiętała, jak Kasandra mówiła jej, że pszczoły cieszą się wielkim szacunkiem w świecie owadów. Teraz zamierzała sprawdzić, czy to prawda; zamierzała dowiedzieć się, czy ona, Maja, może wymusić szacunek. Niemniej jednak jej serce biło nieco szybciej, ponieważ jej ton był bardzo głośny i stanowczy.

Tak naprawdę to muszka była przestraszona. Okazała to wyraźnie. Kiedy spostrzegła, że Maja nie zamierza pozwolić, by ktośkolwiek nią rządził, wycofała się. Warknąwszy coś posępnie przysiadła na łodydze, która zaginała się nad liściem Mai, i powiedziała znacznie grzeczniejszym tonem, zwracając się do niej tym razem już skryta przed blaskiem słońca:

— Powinnaś teraz pracować. Jako pszczoła z pewnością powinnaś, ale jeśli chcesz odpocząć, w porządku. Poczekam tutaj.

— Jest mnóstwo innych liści — zauważyła Maja.

— Wszystkie pozajmowane — powiedziała muszka. — W dzisiejszych czasach szczęśliwy ten, kto może nazwać skrawek ziemi swoim własnym. Gdyby mój poprzednik nie został porwany przez żabę dwa dni temu, nadal nie miałbym gdzie mieszkać. To niezbyt przyjemne, musieć co noc szukać innego lokum. Nie każdy ma tak uporządkowaną sytuację życiową, jak ty, ale pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Jacek Krzysztof.

Maja zamilkła z przerażenia, myśląc o tym, jak straszne musi być wpadnięcie w szpony żaby.

Wtem Jackowi Krzysztofowi zaczęła się przyglądać wielka ważka.

— Tak, to kochany małe stworzenie — odpowiedziała czule i naraz odgryzła Jackowi głowę.

Maja myślała, że traci zmysły. Przez długi czas nie mogła wyduśić z siebie żadnego dźwięku. Z przerażeniem słuchała chrupania i mlaskania nad sobą, gdy ciało niebieskiego Jacka Krzysztofa było rozczłonkowywane.

— Już nie rób takiej miny — powiedziała ważka z pełnymi ustami, przeżuając. — Twoja wrażliwość nie robi na mnie żadnego wrażenia. Czy pszczoły są lepsze? Czym takim się zajmujecie? Najwyraźniej jesteś jeszcze bardzo młoda i nie rozejrzałaś się dostatecznie po własnym domu. Kiedy latem dochodzi do masakry trutni, reszta świata jest nie mniej zszokowana i przerażona, a myślę, że nawet bardziej niż ty teraz.

— Skończyłaś już? — zapytała Maja, ale nie odważyła się podnieść wzroku.

— Została mi jeszcze jedna noga — odpowiedziała ważka.

— Proszę, połknij ją. Wtedy ci odpowiem — zawołała Maja, która wiedziała, że trutnie w ulu muszą zostać zabite latem i była zdumiona głupotą ważki. — Ale nie waż się podchodzić ani kroku bliżej. Jeśli to zrobisz, użyję na tobie mojego żądła.

Mała Maja naprawdę straciła panowanie nad sobą. Po raz pierwszy wspomniała o swoim żądle i po raz pierwszy cieszyła się, że posiada tę broń.

Ważka rzuciła jej złowrogie spojrzenie. Skończyła swój posiłek i przysiadła z lekko opuszczoną głową, patrząc na Maję swoimi oczami i wyglądając jak drapieżna bestia, która zaraz zaatakuje. Mała pszczołka była teraz całkiem spokojna. Nie wiedziała, skąd wzięła się jej odwaga, ale już się nie bała. Zaczęła bardzo głośno bzyczeć, tak jak kiedyś słyszała to u wartownika, gdy osa zbliżała się do wejścia do ula.

Ważka odezwała się powoli i groźnie:

— Wążki żyją z narodem pszczół w jak najlepszych stosunkach.

— Bardzo to rozsądne z ich strony — bystro rzuciła Maja.

— Czy chcesz przez to zasugerować, że się ciebie boję? — Ważka jednym szybkim ruchem puściła pęd, który odskoczył na swoje poprzednie miejsce i z trzepotem skrzydeł przeleciała prosto nad powierzchnię wody, gdzie pojawiło się teraz jej lustrzane odbicie. Można by było pomyśleć, że latały tam dwie ważki.

Obie poruszały kryształowymi skrzydłami tak szybko i finezyjnie, że wydawało się, jakby wokół nich unosił się srebrzysty połysk.



Maja już całkiem zapomniała o żalu po biednym Jacku Krzysztofie i o własnym niebezpieczeństwie.

— Jak cudownie! Jak cudownie! — zawołała entuzjastycznie, klaszcząc w dłonie.

— Masz na myśli mnie? — ważka odezwała się ze zdziwieniem, ale szybko dodała: — Tak, muszę przyznać, że jestem dość reprezentacyjna. Wczoraj leciałam wzdłuż strumienia i powinnaś była słyszeć, jak niektórzy ludzie leżący na brzegu, zachwycali się mną.

— Istoty ludzkie! — wykrzyknęła Maja. — Ojej, widziałas istoty ludzkie?

— Oczywiście — odpowiedziała ważka. — Ale na pewno zainteresuje cię moje imię. Nazywam się Kochaniuszka, z rzędu *odonata*, z rodziny *libellulidæ*.

— Opowiedz mi o ludziach — poprosiła Maja, gdy już się przedstawiła.

Ważka wydawała się chętna. Usiadła na liściu obok Mai. Mała pszczołka pozwoliła jej na to, wiedząc, że panna Kochaniuszka będzie uważać, by nie podejść zbyt blisko.

— Czy istoty ludzkie mają żądło? — zapytała.

— Dobry Boże, co oni by zrobili z żądłem! Nie, mają gorszą broń przeciwko nam i są bardzo niebezpieczni. Nie ma wśród nas takiej duszy, która by się ich nie bała, zwłaszcza tych małych, którzy mają dwie nogi — chłopców.

— Czy próbują cię złapać? — zapytała Maja, aż dysząc z ekscytacji.

— Tak, nie rozumiesz dlaczego? — Pani Kochaniuszka spojrzała na swoje skrzydła. — Rzadko spotykam człowieka, który nie próbowałby mnie złapać.

— Ale dlaczego? — zapytała Maja, dygocąc.

— Widzisz — odpowiedziała panna Kochaniuszka ze skromnym uśmiechem i wzrokiem opadającym w bok — w nas, ważkach, jest coś pociągającego. To jedyny powód, jaki znam. Niektórzy członkowie naszej rodziny, którzy dali się złapać, przeszli przez najokrutniejsze tortury i w końcu zginęli.

— Zostali zjedzeni?

— Nie, nie, to nie do końca tak — powiedziała pocieszająco panna Kochaniuszka. — O ile wiadomo, człowiek nie żywi się ważkami, ale czasami budzą się w nim mordercze pragnienia, żądza zabijania, która prawdopodobnie nigdy nie zostanie wyjaśniona. Możesz w to nie wierzyć, ale zdarzały się przypadki, że tak zwani ludzcy chłopcy łapali ważki i odrywali im nogi i skrzydła dla czystej przyjemności. Wątpisz w to, prawda?

— Oczywiście, że wątpię — zawołała Maja z oburzeniem.

Panna Kochaniuszka wzruszyła błyszczącymi ramionami. Jej twarz wyglądała na starą z powodu nabytej wiedzy.

— Och — powiedziała po chwili, zasmucona i blada — gdyby tylko można było mówić o takich rzeczach otwarcie. Miałam brata, który obiecywał wspierać przyszłość, ale, przykro mi to mówić, był trochę lekkomyślny i strasznie ciekawski. Pewnego razu jeden chłopiec zarzucił na niego sieć, sieć przymocowaną

do długiego kija... Kto mógłby marzyć o czymś takim? Powiedz mi. A ty? Chciałabyś, żeby coś takiego ciebie spotkało?

— Nie — odpowiedziała mała pszczołka — nigdy. Nigdy nawet bym o czymś takim nie pomyślała.

Ważka spojrzała na nią poważnie.

— Wokół jego talii między skrzydłami, zawiązano czarny sznurek, aby mógł latać, ale nie mógł odlecieć, nie mógł uciec. Za każdym razem, gdy mój brat myślał, że już odzyskał wolność, był szarpany z powrotem z potworną siłą, by znaleźć się w zasięgu chłopca.

Maja potrząsnęła głową.

— Strach nawet pomyśleć.

— Jeśli choć jeden dzień uda mi się przeżyć w spokoju, nie myśląc o tym, co się zdarzyło — powiedziała ważka — z pewnością i tak zaraz mi się to przyśni. Kolejne nieszczęście następowało zaraz jedno po drugim. Mój brat wkrótce umarł. Pani Kochaniuszka głęboko westchnęła.

— Jak umarł? — zapytała Maja ze szczerym współczuciem.

Panna Kochaniuszka nie mogła odpowiedzieć od razu. Wielkie łzy napłynęły jej do oczu i potoczyły się po policzkach.

— Utknął w kieszeni — szlochała. — Nikt nie może przeżyć utknięcia w kieszeni.

— Ale co to jest kieszeń? Maja nie mogła pojąć tylu nowych i strasznych rzeczy naraz.

— Kieszeń — wyjaśniła panna Kochaniuszka — to schowek, który ludzie mają w swoich okryciach wierzchnich. A jak myślisz, co jeszcze było w kieszeni, kiedy mój brat w niej utknął? Och, straszne towarzystwo, w którym mój biedny brat musiał wydać ostatnie tchnienie! Nigdy nie zgadniesz!

— Nie wiem — powiedziała Maja z drżeniem — nie, nie sądzę, żebym była w stanie. Może miód?

— Raczej nie — zauważyła panna Kochaniuszka z miną pełną powagi i zmartwienia. — Rzadko można znaleźć miód w kieszeniach ludzi. Powiem ci: w kieszeni była żaba, scyzoryk i marchewka. I co?

— Straszne — szepnęła Maja — Co to jest scyzoryk?

— Scyzoryk jest w pewnym sensie sztucznym żądłem człowieka. Natura nie dała im żądła, więc próbują je zastąpić. Żaba, dzięki Bogu, zbliżała się do kresu życia. Nie miała jednego oka, miała złamaną nogę i zwichniętą dolną szczękę. Mimo to, w chwili, gdy mój brat utknął w kieszeni, syczała na niego ze swojego krzywego pyska:

— Jak tylko dojdę do siebie, połknę cię.

Ocalałym okiem wpatrywała się w mojego brata, a w półmroku tego więzienia można sobie wyobrazić, jaki efekt musiało wywołać to spojrzenie — strach! Potem stało się coś jeszcze gorszego. Kieszeń nagle się zatrzęsła, mój brat został przyciśnięty do umierającej żaby, a jego skrzydła przywarły do jej zimnego, mokrego ciała. Odszedł omdlały. Och, co za nieszczęście! Nie ma słów, by to opisać.

— Jak się o tym wszystkim dowiedziałaś? — Maja była tak przerażona, że ledwo mogła sformułować pytanie.

— Powiem ci — odpowiedziała pani Kochaniuszka. — Po jakimś czasie chłopiec zgłodniał i sięgnął do kieszeni po marchewkę. Leżała pod moim bratem i żabą, a chłopiec wyrzucił ją pierwszy. Usłyszałam wołanie brata o pomoc i znalazłam go leżącego obok żaby na trawie. Dopadłam do niego w samą porę, by wysłuchać całej historii, zanim wydał z siebie ostatnie tchnienie. Objął mnie za szyję i pocałował na pożegnanie. Potem umarł — dzielnie i bez narzekania jak mały bohater. Kiedy jego zmiażdżone skrzydła zadrżały po raz ostatni, położyłam liść dębu na jego ciele i poszłam poszukać gałązki niezapominajek, by położyć ją na jego grobie. — Śpij dobrze, mój braciszku — zawołałam i odleciałam w ciszę wieczoru. Poleciałam w stronę dwóch

czerwonych słońc, tego na niebie i tego w jeziorze. Nikt nigdy nie czuł się tak smutno i poważnie, jak ja wtedy... Czy kiedykolwiek w życiu byłaś smutna? Może opowiesz mi o tym innym razem.

— Nie — odpowiedziała Maja. — Prawdę mówiąc, do tej pory zawsze byłam szczęśliwa.

— Możesz podziękować swoim szczęśliwym gwiazdom — powiedziała pani Kochaniuszka z nutą rozczarowania w głosie.

Maja zapytała o żabę.

— Och, żaba — powiedziała pani Kochaniuszka. — Przypuszczalnie spotkał ją koniec, na jaki zasłużyła. Ależ ona miała zatwardziałe serce, żeby jeszcze straszyć umierającą osobę! Kiedy znalazłam ją na trawie obok mojego brata, próbowała uciec, ale ze względu na złamaną nogę i jedno oko, jedyne co mogła zrobić, to kuśtykać w kółko i w kółko. Wyglądało to zbyt komicznie, by to w pełni opisać. — Wkrótce dopadnie cię bocian — zawołałam do żaby, gdy odlatywałam.

— Biedna żaba! — powiedziała mała Maja.

— Biedna żaba! Rzeczywiście, biedna żaba! To już przesada. Użalanie się nad żabą? Cóż za pomysł! Użalanie się nad żabą jest jak podcinanie własnych skrzydeł. Wygląda na to, że nie masz żadnych zasad.

— Być może, ale trudno mi patrzeć, jak ktoś cierpi.

— Och — pocieszyła ją pani Kochaniuszka — to dlatego, że jesteś taka młoda. Z czasem uodpornisz się na to. Zdrówka, moja droga, muszę już wyjść na słońce. Jest tu dość zimno. Do widzenia!

Rozległ się cichy szelest i błysk tysiąca kolorów, cudownie żywych, jak blask płynącej wody i przezroczystych kamieni szlachetnych.

Pani Kochaniuszka przeleciała przez zielone szuwary nad powierzchnią wody. Maja słyszała jej śpiew w promieniach słońca.

ńca. Stała tak i słuchała. Była to piękna piosenka, mająca w sobie coś z melancholijnej słodczy ludowej pieśni, która napełniła serce małej pszczołki szczęściem i smutkiem.

Delikatnie płynie piękny strumień

Dotknięty różanym blaskiem poranka

Przepłynął przez olchy,

Gdzie szuwary wyginają się i kołyszą,

Gdzie lilie wodne mówią:

„Mamy złote serca!”

Ciepły zapach przynosi zachodni wiatr,

Jasne słońce na moich skrzydłach,

Radość wśród kwiatów!

Choć moje życie może nie być długie,

Och babie lato, nieś, nieś moją pieśń!

Dzięki za wspaniały czas!

— Posłuchaj! — zawołał biały motyl do swego przyjaciela. Posłuchaj pieśni ważki. W blasku słońca oba stworzenia zakołysały się blisko Mai i znów odleciały w promienny, błękitny dzień. Wtedy Maja również uniosła skrzydła, bzyczeniem pożegnała srebrzyste jezioro i odleciała w głąb lądu.



MAJA UNIOSŁA SKRZYDŁA, BZYCZENIEM POŻEGNAŁA SIĘ
Z JEZIOREM
I POLECIAŁA W GŁĄB LĄDU.

ROZDZIAŁ IV. EFI I BOBI



KIEDY MAJA obudziła się następnego ranka w koronie niebieskiego dzwonka kanterberyjskiego, w powietrzu usłyszała delikatny, cichy szelest i poczuła, jak jej kwiatowe łóżko drży od cichego, nieśmia-

łego stukania. Przez otwartą koronę dochodził wilgotny powiew trawy i ziemi, a powietrze było dość chłodne. Z pewną obawą pobrała odrobinę pyłku z żółtych pręcików, skrupulatnie wykonała swoją toaletę, a następnie ostrożnie, stawiając kroki, odważyła się podejść do zewnętrznej krawędzi opadającego kwiatu. To był deszcz! Delikatny, chłodny deszcz padał z cichym pluskiem, pokrywając wszystko dookoła milionami srebrnych perełek, które przylgnęły do liści i kwiatów, potoczyły się po zielonych ścieżkach źdźbeł trawy i odżywiły brązową ziemię.

Cóż za zmiana na świecie! Pszczółka po raz pierwszy w swoim młodym życiu widziała deszcz. Napełniło ją to zdumieniem i zachwytem. Była jednak trochę zaniepokojona. Pamiętała ostrzeżenie Kasandry, by nigdy nie latać w deszczu. Zdała sobie sprawę, że musi być trudno poruszać skrzydłami, gdy uderzają o nie krople. A zimno naprawdę bolało i tęskniła za ciszą, złocistego dnia, kiedy słońce rozjaśniało ziemię i czyniło ją miejscem wolnym od wszelkich trosk.

Wydawało się, że jest jeszcze bardzo wcześnie. Życie zwierząt w trawie dopiero się zaczynało. Z ukrycia swojego pięknego dzwoneczka Maja miała wspaniały widok na budzące się pod nią życie społeczne. Obserwując je, zapomniała na chwilę o nie-

pokoju i narastającej tęsknocie za domem. Nie było nic zabawniejszego, niż być bezpieczną w kryjówce, wysoko w górze i patrzeć z wysoka na poczynania mieszkańców traw poniżej.

Powoli jednak jej myśli wracały do domu, który opuściła, do państwa pszczoł i do poczucia bezpieczeństwa, jakie dawała jego zwarta solidarność. Tam, w ten deszczowy dzień, pszczoły zbierały się razem, ciesząc się z dnia odpoczynku, wykonując tu i ówdzie drobne prace konstrukcyjne przy komórkach lub karmiąc larwy. Jednak ogólnie rzecz biorąc, kiedy padał deszcz, ul był bardzo cichy i spokojny jak w niedzielę. Tylko od czasu do czasu posłańcy wylatywali, by sprawdzić, jaka jest pogoda i z której strony wieje wiatr. Królowa chodziła po swoim królestwie, wysłuchując opowieści, sprawdzając to i owo i obdarzając słowem pochwały lub kierując słowa nagany, tu i ówdzie składała jajko i przynosiła radość swoją królewską obecnością, gdziekolwiek się pojawiła. Zdarzało się, że poklepała którąś z młodszych pszczoł po głowie, aby okazać jej aprobatę dla tego, co udało jej się zrobić, lub zapytała ją o nowe doświadczenia. Jakże wielki zaszczyt spotykał pszczołę, która zostałaby obdarowana łaskawym spojrzeniem lub dobrym słowem ze strony królowej!

Och, pomyślała Maja, jak szczęśliwa byłaś, mogąc zaliczać się do takiej społeczności, czując, że wszyscy cię szanują i masz potężną ochronę ze strony pszczelego państwa. Tutaj, w świecie, samotna i bezbronna, narażała swoje życie na wielkie ryzyko. Było jej też zimno. A przypuśćmy, że deszcz nie przestanie padać! Co miałyby zrobić, jak znaleźć coś do jedzenia? W kanterberyjskim dzwonku nie było już prawie żadnego miodowego nektaru, a pyłek wkrótce się wyczerpie.

Po raz pierwszy Maja zdała sobie sprawę, jak bardzo do życia włączęgi jest potrzebne słońce. Pomyślała sobie, że gdyby nie ono, mało kto wyruszyłby na poszukiwanie przygód. Samo wspomnienie o tym było radosne, a ona promieniała skrytą dumą, że odważyła się rozpocząć życie na własną rękę. Ile rzeczy

już widziała i doświadczyła! Więcej, o wiele więcej, niż inne pszczoły mogłyby poznać w ciągu całego życia. Doświadczenie jest najcenniejszą rzeczą w życiu, wartą wszelkich poświęceń, pomyślała.

Oddział wędrownych mrówek przechodził obok i śpiewał, marszerując przez chłodne trawy leśne. Wyglądało na to, że się spieszą. Ich pokrzepiająca ducha poranna pieśń, śpiewana w rytm ich marszu, poruszyła serce małej pszczołki melancholią.

*Niewiele na Ziemi będzie naszych dni,
Jak szybko przemijają chwile;
Rabusie pierwszej klasy, tacy jak my
Nie dbają o nic i tyle.*

Byli wyjątkowo dobrze uzbrojeni i wyglądali zuchwale, śmiało i niebezpiecznie.

Pieśń ucichła pod liśćmi tataraku. Wyglądało jednak na to, że stało się tam coś złego. Naraz zabrzmiał szorstki, ochrypły głos, a małe listki młodego mniszka lekarskiego zostały z impetem odrzucone na bok. Maja zobaczyła korpulentnego niebieskiego chrząszcza. Wyglądał jak półkula ciemnego metalu, mieniąca się światłami błękitu i zieleni, a czasem czerni. Mógł być dwa lub nawet trzy razy większy od niej. Jego twardy pancerz wyglądał, jakby nic nie mogło go zniszczyć, a jego głęboki głos wzbudzał strach.

Śpiew żołnierzy najwyraźniej wybudził go ze snu. Był zdenerwowany. Jego włoski wciąż były potargane, a on sam ocierał resztki snu ze swoich małych, niebieskich oczu.

— Z drogi, nadchodzę. Z drogi!

Wydawało mu się, że ludzie powinni odsunąć się na sam jego widok.

— Dzięki Bogu, że to nie ja stoję na jego drodze — pomyślała Maja, czując się bardzo bezpiecznie w zakątku swojego skrytego wysoko, kołyszącego się ukrycia. Mimo to jej serce zabiło mocniej i wycofała się nieco w głąb klombu.

Żuk poruszał się niezgrabnie po mokrej trawie, prezentując się niezbyt elegancko. Bezpośrednio pod kwiatem Mai leżał zwiędły liść. Zatrzymał się, odrzucił liść na bok i zrobił krok do tyłu. Maja ujrzała dziurę w ziemi.

— Coś takiego — pomyślała zaciekawiona — ile ciekawych rzeczy jest na świecie. Nigdy nie myślałam o czymś takim. Życie nie jest wystarczająco długie, by to wszystko zobaczyć.

Poruszała się bardzo cicho. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było delikatne bębnienie deszczu. Potem usłyszała żuka wołającego w dół dziury:

— Jeśli chcesz iść ze mną na polowanie, musisz się zdecydować i wstać. Jest już jasno. — Tak bardzo czuł swoją wyższość, ponieważ obudził się pierwszy, że trudno mu było być miłym.

Minęło kilka chwil, zanim nadeszła odpowiedź. Wtedy Maja usłyszała cienki, świergoczący głos wydobywający się z dziury.

— Na litość boską, zamknij tam drzwi. W środku pada deszcz.

Żuk był posłuszny. Stał w postawie wyczekującej, z głową przechyloną nieco na bok i mrużył oczy, zaglądając do dziury.

— Proszę, pospiesz się — mruknął.

Maja cała była podekscytowana, chcąc zobaczyć, jakie też stworzenie wyjdzie z dziury. Podkradła się tak daleko na krawędź kwiecia, że kropla deszczu spadła jej na ramię i sprawiła, iż zaczęła się trząść. Natychmiast wytarła się do sucha.

Znajdujący się pod nią zwiędły liść zatrzęsł się i powoli wypełził z niego brązowy owad. Maja pomyślała, że to najdziwniejszy okaz, jaki kiedykolwiek widziała. Miał pulchne ciało, osadzone na niezwykle cienkich, wolno poruszających się nogach i prze-

rażająco grubą głowę z małymi, sterczącymi czułkami. Wyglądał na zdeorientowanego.

— Dzień dobry, Ewciu. — Żuk skłonił się grzecznie. Był bardzo uprzejmy, a jego ciało wydawało się, że w jednej chwili naprawdę wysmukłało.

— Jak ci się spało? Jak ci się spało, mój skarbie, moje wszystko?
Ewcia chwyciła jego dłoń dość pewnie.

— To niemożliwe, Bobi — powiedziała. — Nie mogę iść z tobą. Za dużo gadamy.

Biedny Bobi wyglądał na zaniepokojonego.

— Nie rozumiem — zająknął się. — Czy nasze nowo odkryte szczęście ma zostać zniszczone przez takie bzdury? Ewciu, przemyśl to. Co cię obchodzi, co inni powiedzą? Masz swoją dziurę, możesz się do niej zakraść, kiedy tylko zechcesz, a jeśli zejdziesz wystarczająco głęboko, nie usłyszysz ani jednej sylaby.

Ewcia uśmiechnęła się smutnym, ale pełnym wyższości uśmiechem.

— Bobi, nie rozumiesz. Mam własne poglądy na tę sprawę. Poza tym jest jeszcze coś. Byłeś wyjątkowo niedelikatny. Wykorzystałeś moją niewiedzę. Uwierzyłam, że jesteś chrząszczem z rodziny kruszczycowatych, a wczoraj ślimak powiedział mi, że jesteś żukiem gnojarem. Znacząca różnica! Widział, jak zajmujesz się czymś, o czym nie chcę wspominać. Jestem pewien, że teraz przyznasz, że muszę odwołać swoje słowa.

Bobi był oszołomiony. Kiedy otrząsnął się z szoku, wybuchnął gniewem:

— Nie, nie rozumiem. Nie mogę zrozumieć. Chcę być kochany ze względu na to, jaki jestem, a nie ze względu na moją pracę.

— Gdyby to tylko nie było łąjno, to jeszcze ujdzie — powiedziała Ewcia lekceważąco — cokolwiek innego niż kupa i jeszcze jakoś

bym to przeżyła. — I proszę, pamiętaj, że jestem młodą wdową, która straciła męża zaledwie trzy dni temu w najtragiczniejszych okolicznościach — został pożarty przez ryjówkę — i nie wypada, żebym teraz się wygłupiała. Młoda wdowa powinna prowadzić życie w całkowitym odosobnieniu. Więc do widzenia.

Ewcia wskoczyła do swojej nory, jakby porwał ją podmuch wiatru. Maja nigdy nie pomyślałaby, że ktoś może tak szybko zanurkować w ziemię.

Ewcia zniknęła, a Bobi wpatrywał się pustym wzrokiem w ciemny otwór, wyglądając tak głupio, że Maja aż musiała się roześmiać.

W końcu ocknął się i potrząsnął małą, okrągłą główką zagniewany do szpiku czułek. Jego czułki poruszały się posepnie jak dwa wachlarzyki przemoczone deszczem.

— Ludzie w dzisiejszych czasach nie doceniają już szlachetności charakteru i szacunku — westchnął. — Ewcia jest bez serca. Nie miałem odwagi przyznać się do tego przed samym sobą, ale ona jest absolutnie bezduszna, ale nawet jeśli nie żywi do mnie właściwych uczuć, powinna mieć na tyle rozsądku, by zostać moją żoną.

Maja zobaczyła, jak łzy napływają mu do oczu, a jej serce ogarnęła litość.

W następnej chwili Bobi się ocknął. Otarł łzy i ostrożnie podkraść się do małego kopca, który jego przyjaciółka prawdopodobnie usypała z ziemi. Przez trawę szła mała dżdżownica o cielistym kolorze. Miała przedziwny sposób poruszania się, najpierw robiąc się długa i cienka, a potem krótka i gruba. Jej podłużne ciało składało się z delikatnych pierścieni, które bezszelestnie poruszały się do przodu.

Nagle, ku zaskoczeniu Mai, Bobi zrobił krok ze swojej kryjówki, złapał robaka, przegryzł go na pół i zaczął spokojnie zjadać jedną połowę, nie zważając na rozpaczliwe wiercenie się ani na ru-

chy drugiej połowy leżącego w trawie ciała. To był malutki robaczek.

— Cierpliwości — powiedział Bobi — wkrótce będzie po wszystkim.

Jednak kiedy przeżuwał, jego myśli zdawały się powracać do Ewci, jego Ewuni, którą stracił na zawsze, a rześiste łyzy spływały mu po policzkach.

Maja współczuła mu z głębi serca.

— A niech mnie — pomyślała — z pewnością na świecie jest wiele smutku.

W tym momencie zobaczyła połowę robaka, którą Bobi odrzucił na bok, uciekającą w pośpiechu.

— Coś podobnego, nie do wiary! — zawołała, zaskoczona tak głośnym tonem, że Bobi rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, skąd dobiegł ten dźwięk.

— Z drogi! — zawołał.

— Ale ja nie stoję na twojej drodze — powiedziała Maja.

— Więc gdzie jesteś? Musisz gdzieś być.

— Tutaj. Nad tobą. W dzwoneczku.

— Wierzę ci, ale nie jestem pasikonikiem. Nie mogę odwrócić głowy na tyle, by cię zobaczyć. Dlaczego tak krzyknęłaś?

— Połowa robaka ucieka.

— No tak — powiedział Bobi, patrząc za oddalającym się kawałkiem — te stworzenia są bardzo żywiołowe — a ja straciłem apetyt. — Po tych słowach wyrzucił resztkę, którą wciąż trzymał w dłoni, a ta część dżdżownicy również wycofała się w przeciwnym kierunku.

Maja była kompletnie zaskoczona, ale Bobi wydawał się zaznajomiony z tą osobliwością dżdżownic.

— Nie myśl sobie, że zawsze jem tylko robaki — zauważył.
— Widzisz, życie nie jest usłane różami.

— Chociaż powiedz tej małej, w którą stronę pobiegła jej druga połowa — zawołała Maja w wielkim uniesieniu.

Bobi potrząsnął głową z powagą.

— Tych, których los rozdzielił, niech nikt nie łączy ponownie — zauważył. — Kim jesteś?

— Jestem Maja, z nacji pszczoł.

— Miło mi to słyszeć. Nie mam nic przeciwko pszczołom. Dlaczego tak siedzisz? Pszczoły zwykle nie siedzą. Długo tam siedzisz?

— Spałam tutaj.

— Ach tak! Doprawdy? — w głosie Bobi pojawiła się nuta podejrliwości.

— Mam nadzieję, że spałeś dobrze, bardzo dobrze. Dopiero się obudziłaś?

— Tak — odpowiedziała Maja, która w czas błyskotliwie domyśliła się, że Bobiemu nie spodobałoby się to, że podsłuchiwała jego rozmowę z Ewcią, świerszczycą, i nie chciała ponownie ranić jego uczuć.

Bobi kołysał się w tę i z powrotem, próbując spojrzeć w górę i zobaczyć Maję.

—Zaczekaj — powiedział. — Jeśli podniosę się na tylnych łapach i oprę o to źdźbło trawy, będę mógł cię zobaczyć, a ty będziesz mogła spojrzeć na mnie. Zrobimy tak?

— W rzeczy samej. Bardzo bym chciała.

Bobi znalazł odpowiedni rekwizyt – łodygę jaskiera. Kwiat przechylił się nieco na bok, tak że Maja mogła go doskonale widzieć, gdy podniósł się na tylnych odnóżach i spojrział na nią. Pomyślała, że żuczek ma miłą, kochaną, przyjazną twarz — ale już nie

tak młodą, a policzki raczej zbyt pulchne. Ukłonił się, wprawiając jaskier w ruch i się przedstawił:

— Jestem Bobi, z rodziny różanych chrząszczy kruszczycowatych.

Maja zaśmiała się sama do siebie. Dobrze wiedziała, że to nie był żuk kruszczycowaty, tylko żuk gnojak. Pominęła jednak tę kwestię milczeniem, nie chcąc go urazić.

— Nie przeszkadza ci deszcz? — zapytała.

— Och, nie. Jestem przyzwyczajony do deszczu — od róż, wiesz. Tam zwykle pada.

Na te słowa Maja pomyślała sobie:

— W końcu muszę go trochę skarcić za bezczelne kłamstwa. Jest tak strasznie próżny.

— Bobi — powiedziała z chytrym uśmiechem — co to za dziura tam, pod liściem?

Bobi stanął jak wryty.

— Dziura? Dziura, powiedziałaś? Tutaj jest bardzo dużo dziur. To pewnie zwykła dziura. Nie masz pojęcia, ile dziur jest w ziemi.



Ledwie Bobi wypowiedział ostatnie słowo, gdy stało się coś strasznego. Chcąc sprawiać wrażenie obojętnego, stracił równowagę i się przewrócił. Maja usłyszała rozpaczliwy krzyk, a w

następnej chwili zobaczyła żuka leżącego płasko na plecach w trawie, z rękami i nogami żałośnie machającymi w powietrzu.

— Już po mnie — zawodził — już po mnie. Nie stanę już na nogi. Już nigdy nie stanę na nogi. Umrę. Umrę w tej pozycji. Czy kiedykolwiek słyszałaś o gorszym nieszczęściu?

Zaniósł się szlochem tak mocno, że nie usłyszał, jak Maja próbuje go pocieszyć. Wciąż próbował dotknąć stopami ziemi, ale za każdym razem, gdy z trudem udawało mu się chwycić skrawek ziemi, ten ustępował, a on ponownie przewracał się na swoje okrągłe plecy. Sprawa wyglądała naprawdę rozpaczliwie, a Maja była tym naprawdę zaniepokojona; był już dość biały na twarzy, a jego krzyki rozdzierały serce.

— Nie zniosę tego, nie wytrzymam w tej pozycji — krzyczał. — Przynajmniej odwróć głowę. Nie dręcz umierającego swoimi ciekawskimi spojrzeniami — gdybym tylko mógł dosięgnąć źdźbła trawy lub łodygi jaskiera. Nie można się chwycić powietrza. Nikt tego nie potrafi. Nikt nie potrafi złapać się powietrza.

Serce Mai zadrżało z litości.

— Poczekaj — zawołała — spróbuję cię przewrócić. Jeśli bardzo się postaram, na pewno mi się uda, ale Bobi, Bobi, mój drogi, nie krzycz tak. Posłuchaj mnie. Jeśli zagnę źdźbło trawy i wyciągnę do ciebie jego czubek, czy będziesz w stanie się go chwycić i się uratować?

Bobi nie słuchał jej propozycji. Przerażony do nieprzytomności, nic tylko kopał i krzyczał.

Tak oto mała Maja, pomimo deszczu, wyleciała z ukrycia i zbliżyła się do wąskiego źdźbła trawy rosnącego tuż obok Bobiego i przylgnęła do samego końca. Źdźbło ugięło się pod jej ciężarem i opadło bezpośrednio nad wijącymi się kończynami Bobim. Maja wydała z siebie okrzyk zachwytu.

— Złap się tego — zawołała.

Bobi poczuł, jak coś łaskocze go w twarz i szybko chwycił to, najpierw jedną ręką, potem drugą, a w końcu także obiema nogami, które miały po dwa wspaniałe ostre ząbki. Stopniowo przyciągał się do źdźbła, aż sięgnął do jego trzonu, gdzie było grubsze i mocniejsze, i mógł podciągnąć się i obrócić.

Odetchnął z ogromną ulgą.

— Dobry Boże! — wykrzyknął. — To było straszne. Gdyby nie moja przytomność umysłu, padłbym ofiarą twojej gadatliwości.

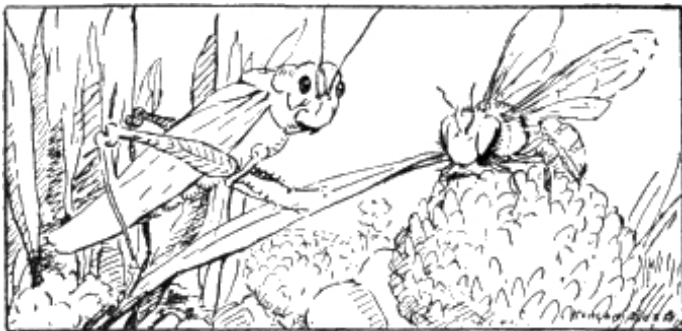
— Lepiej się czujesz? — zapytała Maja.

Bobi złapał się za czoło.

— Dzięki, dzięki. Kiedy zawroty głowy miną, opowiem ci o wszystkim.

Tyle tylko, że Maja nie doczekała się odpowiedzi na swoje pytanie. Polny wróbelek skakał po trawie w poszukiwaniu owadów, a mała pszczołka przylgnęła do ziemi i zachowywała bardzo cicho, dopóki ptak nie odleciał. Kiedy rozejrzała się za Bobim, okazało się, że już zdążył gdzieś zniknąć. Ona również odleciała, ponieważ przestało padać, a dzień był pogodny i ciepły.

ROZDZIAŁ V. AKROBATA



OCH, co za dzień!

Rosa opadła wcześniej rano, a kiedy słońce wzeszło i rzuciło swoje ukośne promienie na las porośnięty trawą, pojawiło się ta-

kie lśnienie i tyle blasku, że nie wiadomo było, co powiedzieć lub zrobić z powodu zachwyty, było tak pięknie, tak pięknie!

Gdy tylko Maja się zbudziła, zewsząd przywitały ją radosne dźwięki. Niektóre z nich dochodziły z drzew, z gardeł ptaków, tych przerażających stworzeń, które jednak potrafiły wydawać z siebie tak wspaniałe pieśni; inne radosne nawoływania docierały z powietrza, od przelatujących po niebie owadów, lub z trawy i krzaków, od robaków i much, tych dużych i tych małych.

Maja urządziła sobie bardzo wygodne legowisko w dziupli drzewa. Było tam bezpiecznie i sucho, a przez większą część nocy także ciepło, ponieważ przez cały dzień słońce świeciło wprost na wejście. Pewnego razu, wczesnym rankiem, usłyszała dziecięcia stukającego w korę pnia i nie tracąc czasu, rzuciła się do ucieczki. Stukanie dziecięcia jest tak przerażające dla małego owada skrytego w korze drzewa, jak dla nas wyłamanie okienic przez włamywacza, ale w nocy w swoim przytulnym schronieniu, była bezpieczna. Nocą żadne stworzenie nie wpraszało się do niej.

Część wejścia zakleiła woskiem, zostawiając tylko tyle miejsca, by można było się weń wśliznąć się i wysliznąć; a w zagłębieniu

z tyłu dziupli, gdzie było ciemno i chłodno, przechowywała trochę miodu na deszczowe dni.

Tego ranka wyszła na słońce z okrzykiem zachwytu, pełna radości i niecierpliwości na myśl o tym, co może przynieść ten rześki, piękny dzień. Szybowała gładko w złocistym powietrzu, wyglądając jak pełna energii kropeczka pędzona przez wiatr.

— Spotkam dziś człowieka — zawołała. — Jestem tego pewna. W takie dni istoty ludzkie z pewnością muszą przebywać na świeżym powietrzu, ciesząc się naturą.

Nigdy wcześniej nie widziała tylu owadów. Owady przylatywały i odlatywały, robiąc różne rzeczy; powietrze żyło szumem, śmiechem i radosnymi okrzykami. Trzeba było się przyłączyć, po prostu trzeba było się przyłączyć.

Po chwili Maja zeszła do lasu porośniętego trawą, gdzie rosły przeróżne rośliny i kwiaty. Najwyższe były białe kępki krwawnika i rdestu — płomiennych tuberoz, która przyciągała jak magnes. Wzięła łyk nektaru z jakiejś koniczyzny i już miała odlecieć, gdy zobaczyła przezabawne stworzenie siedzące na źdźbłę trawy wijącym się ponad jej kwiatem. Przestraszyła się — to był chudy zielony stwór — ale potem jej zainteresowanie ogromnie wzrosło i siedziała nieruchomo, jakby zapuściła korzenie, wpatrując się prosto w niego.

Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że ma rogi. Przyglądając się bliżej, dało się zauważyć, że to jego dziwnie wypukłe czoło sprawiało takie wrażenie. Z jego brwi wyrastały dwa długie czułki cienkie jak najdelikatniejsza nić, a jego ciało było najszczuplejszym, jakie można sobie wyobrazić, i zielone na całej powierzchni, nawet w oczach. Miał delikatne przednie kończyny i cienkie, niepozorne skrzydła, które nie mogły być zbyt praktyczne, pomyślała Maja. Najdziwniejsze ze wszystkiego były jego wielkie kończyny tylne, które sterczały nad jego ciałem jak dwa złęczone szczudła. Jego chytry, zuchwały wyraz twarzy był sprzeczny z wyrazem zdziwienia w jego oczach, ale nie mo-

zna było powiedzieć, że w jego oczach była jakaś złośliwość. Nie, raczej dużo dobrego humoru.

— Cóż, mademoiselle, powiedział do Mai, wyraźnie zirytowany jej zaskoczonym wyrazem twarzy — nigdy wcześniej nie widziałś konika polnego? A może składałaś jaja?

— Też mi pomysł! — zawołała Maja zaskoczonym głosem. — Nie przyszłoby mi to do głowy. Nawet gdybym mogła, nie zrobiłabym tego. To byłoby uzurpowanie sobie prawa do świętych obowiązków naszej królowej. Nie zrobiłabym takiego głupstwa. Konik polny pochylił głowę i zrobił tak zabawną minę, że Maja musiała roześmiać się głośno pomimo swojego rozczarowania.

— Mademoiselle — zaczął, po czym sam się roześmiał i powiedział: — Jesteś wyjątkowym okazem! Jest panienka niesamowitym przypadkiem!

Zachowanie kolegi zniecierpliwiło Maję.

— Dlaczego się śmiesz? — zapytała niezupełnie przyjaznym tonem. — Chyba nie mówisz poważnie, oczekując, że będę znosić jaja, zwłaszcza tutaj, na trawie.

Rozległ się trzask. – Hopi hop – powiedział konik polny i zniknął.

Maja była całkowicie zaskoczona. Bez użycia skrzydeł wzbił się w powietrze w niesamowitym skoku. Pomyślała, że to niedorzeczność granicząca z szaleństwem.

Spojrzał na nią z góry i z dołu, obejrzał dookoła, z przodu i z tyłu.

— Nie — powiedział wtedy oschle — na pewno nie możesz składać jaj. Nie jesteś do tego przystosowana. Nie masz łożyska.

— Czego? Łożyska? — Maja zakryła się skrzydłami i skryła się tak, że nieznajomy nie widział nic poza jej twarzą.

— Właśnie to powiedziałem. Tylko się nie przewróć, mademoiselle. Jesteś osą, prawda?

Być nazwaną osą! Nic gorszego nie mogło spotkać małej Mai.

— Ależ skąd! — zawołała.

— Hopi hop — odpowiedział i znów odleciał.

— Ten gość mnie denerwuje — pomyślała i postanowiła odlecieć. Nie pamiętała, by kiedykolwiek w życiu została tak znieważona. Co za hańba być myloną z osą, jedną z tych bezużytecznych os, tych włóczęgów, tych pospolitych złodziei! To było naprawdę dojmująco irytujące, ale znowu się pojawił!

— Mademoiselle — zawołał i odwrócił się częściowo, tak że jego długie kończyny wyglądały, jak wskazówki zegara pięć minut przed wpół do siódmej — mademoiselle, musi mi panienka wybaczyć, że od czasu do czasu przerywam naszą rozmowę, ale nagle mnie to złapało. Muszę podskoczyć. Nie mogę się powstrzymać, muszę skoczyć, nieważne dokąd. Ty też tak masz?

Uśmiechnął się takim promiennym uśmiechem, który rozciągnął jego usta od ucha do ucha. Maja nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

— Umiesz tak? — powiedział konik polny i skinął zachęcająco głową.

— Kim jesteś? — zapytała Maja. — Jesteś niesamowity.

— Wszyscy wiedzą, kim jestem — powiedział zielony dziwak i uśmiechnął się niemal bezgranicznie.

Maja nigdy nie mogła się zorientować, czy mówił to dla zabawy, czy na poważnie.

— W tych stronach jestem obca — odpowiedziała uprzejmie — w przeciwnym razie jestem pewna, że bym cię znała, ale proszę, zauważ, że należę do rodziny pszczoł i na pewno nie jestem osą.

— Mój Boże — powiedział konik polny — toż to jedno i to samo. Maja nie mogła wydusić z siebie żadnego dźwięku, tak była poruszona.

— Jesteś niedouczony — w końcu. — Przyjrzyj się kiedyś dobrze osie.

— Dlaczego miałbym to robić? — odpowiedział zielony. — Po co miałbym zwracać uwagę na różnice, które istnieją tylko w ludzkiej wyobraźni? Ty, pszczoła, lataś w powietrzu, żądlisz wszystko, co napotkasz i nie umiesz skakać. Dokładnie tak samo jest z osą. Więc gdzie jest różnica? Hopi—hop! — I już go nie było.

— Na mnie już pora — pomyślała Maja.

Znowu tam był.

— Mademoiselle — zawołał — jutro odbędzie się mecz hopi—hop. Odbędzie się w ogrodzie wielebnego Szmyka. Czy zechciałyby pani kupić bezpłatny bilet i obejrzeć rozgrywkę? Mojej staruszce zostały dwa. Podaruję ci jeden za komplement. Spodziewam się pobić rekord.

— Nie interesują mnie akrobacje w podskokach — powiedziała Maja z pewnym obrzydzeniem. — Osoba, która lata, ma ciekawsze zainteresowania.

Konik polny wyszczerzył się uśmiechem, który można było niemal usłyszeć.

— Nie mów hop, zanim nie podskoczysz — moja droga młoda damo. Większość stworzeń na tym świecie potrafi latać, ale tylko nieliczne potrafią skakać. Nie rozumiesz życia innych. Brak ci wyobraźni. Nawet istoty ludzkie chciałyby tak elegancko podskakiwać. Pewnego dnia widziałem, jak wielebny Szmyk wyskoczył metr w powietrze, aby zaimponować małemu wężowi, który prześliznął się po jego drodze. Jego pogarda dla wszystkiego, co nie potrafi podskakiwać, była tak wielka, że aż rzucił w nią swoją fajkę. A wielebni, jak wiadomo, nie mogą żyć

bez swoich fajek. Znałem koniki polne — członków mojej rodziny — które potrafiły podskoczyć na wysokość trzysta razy większą niż ich długość. Nawet teraz jesteś pod wrażeniem. Aż zaparło ci dech. I w środku żałujesz uwag, które poczyniłaś i uwag, które zamierzałaś poczynić. Trzystukrotność ich własnego wzrostu! Wyobraź sobie. Nawet słoń, największe zwierzę na świecie, nie może podskoczyć tak wysoko. I co? Nic nie mówisz. Czy nie mówiłem ci, że odbierze ci mowę?— Ale jak mam coś powiedzieć, skoro nie dajesz mi dojść do słowa?

— No dobrze, no to mów — powiedział konik polny miłym tonem. — Hopi—hop. — I już go nie było.



Mimo poirytowania Maja się roześmiała.

Ten koleżka z pewnością dostarczyłby jej wielu niezwykłych wrażeń. Choć był bufonem, musiała podziwiać jego szerokie informacje i wiedzę o świecie; i choć nie mogła zgodzić się z jego poglądami na temat skakania, była zdumiona wszystkimi nowymi rzeczami, których nauczył ją podczas ich krótkiej rozmowy. Gdyby był bardziej przekonujący, z przyjemnością zadawałaby mu pytania na różne tematy. Przyszło jej do głowy, że często ludzie, którzy są najmniej przygotowani do czerpania korzyści z doświadczeń, są właśnie tymi, którzy je czerpią.

Znał imiona istot ludzkich. Czy zatem rozumiał ich język? Gdyby wrócił, zapytałaby go o to. Zapytałaby go też, co sądzi o próbie zbliżenia się do ludzi lub wejścia do jego domu.

— Mademoiselle! — Żdźbło trawy obok Mai zaczęło się kołysać.

— Dobry Boże! Skąd ty ciągle przychodzisz?

— Z otoczenia.

— Ale powiedz, czy wyskakujesz w świat ot tak po prostu, nie wiedząc, gdzie zamierzasz wylądować?

— Oczywiście. Dlaczego nie? Czy potrafisz odczytać przyszłość? Nikt nie potrafi. Tylko ropucha, ale ona nigdy nic nie powie.

— Ileż wiesz! Cudowne, to po prostu cudowne! Czy rozumiesz język ludzi?

— Trudno odpowiedzieć na to pytanie, mademoiselle, ponieważ jak dotąd nie udowodniono, czy istoty ludzkie mają język. Czasami wydają dźwięki, dzięki którym zdają się porozumiewać ze sobą, ale są to tak okropne dźwięki! Tak niemelodyjne! Jak nic innego, co znam w naturze. Jest jednak jedna rzecz, na którą trzeba im pozwolić: wydaje się, że próbują uczynić swoje głosy przyjemniejszymi. Raz widziałem, jak dwóch chłopców wzięło żdźbło trawy między kciuki i dmuchało w nie. Rezultatem był gwizd, który można porównać do ćwierkania świerszcza, choć znacznie gorszy pod względem jakości tonu, znacznie gorszy. Jednak istoty ludzkie naprawdę się starają. Czy jest coś jeszcze, o co chciałbyś zapytać? Coś niecoś wiem.

Uśmiechnął się swoim szerokim, niemal słyszalnym uśmiechem.

Jednak następnym razem, gdy wyskoczył, Maja czekała na niego na próżno. Rozejrzała się po trawie i kwiatach, ale nigdzie nie było go widać.

SPIIS TREŚCI:

ROZDZIAŁ I. PIERWSZY LOT	4
ROZDZIAŁ II. DOM RÓŻY	12
ROZDZIAŁ III. JEZIORO	19
ROZDZIAŁ IV. EFI I BOBI	30
ROZDZIAŁ V. AKROBATA	41